

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (6)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobiecki

Andrzej wspominał mi kiedyś, iż w niektórych z tych miejscowości nie był nigdy po wyjeździe z zachodu kraju, ba, nawet nie odwiedził ich mieszkając w latach 60. i 70. w wojewódzkiej Zielonej Górze. Zatem współczesne wizyty byłyby odwiedzinami po wielu, wielu latach nieobecności. Byłyby powrotem do przeszłości, a w pewnym sensie, patrząc na twórczość AKW, rzecz by można, powrotem do korzeni poetyckich”.

Wyżej cytowałem siebie z książki „Andrzej K. Waśkiewicz – miejsca opuszczone” (Toruń, 2012). Pomysł ów, który nazwałem żartobliwie „Projekt Waśkiewicz”, udało się zrealizować w dniach 16, 17, 18 maja 2011 roku. Był to mój prezent dla niego na 70. urodziny, które wypadły miesiąc później. Wyszło z tego znakomite wydarzenie, ku zadowoleniu jubilata, jak i mojemu. W podróży sentymentalnej zdecydowała się wziąć udział rodzina Waśkiewiczów: żona oraz syn Marcin ze swoją partnerką Justyną Dzienis. Uczestniczyła też moja żona, Lidia Kurzawowa, i przyjaciółka Waśkiewiczów z czasów zielonogórskich Maria Wąsik. Duchowo wspierała nas prof. Małgorzata Mikołajczak z Uniwersytetu Zielonogórskiego, która zaproponowała dwojgu studentom filologii polskiej dokumentowanie wyprawy za pomocą aparatu i dyktafonu. Byli to Mirosława Szott i Janusz Łastowiecki, dziś już oboje doktorzy.

„Miejsca opuszczone” to rodzaj reportażu literackiego z podróży w 2011 roku. Rzecz ukazała się po śmierci Andrzeja, choć omawialiśmy ją niemal do ostatniej chwili, znał treść i układ książki. Śmierć, która mną wstrząsnęła, nadeszła zbyt szybko, ledwie rok z hakiem po tamtej wyprawie. Dobrze, że choć z podróżą zdążyliśmy...

Nasze kontakty, jak powiadam, mimo odległości między Gdańskiem a Suwałkami, a potem Białymstokiem i Zieloną Górą, nie traciły nic z pierwszej świeżości. Zawsze – i

wszędzie – gotowi byliśmy do rozmów. Na różnych zjazdach literackich i seminariach braliśmy wspólny pokój, żeby móc kontynuować to, co skończyliśmy wcześniej, np. na Morenie albo w Wilkanowie. Gdy stać nas już było na luksus telefonu (bo ongiś to był luksus – przypis dla młodzieży), dzwoniłiśmy do siebie i długo gadaliśmy. W czasie moich wizyt w Gdańsku siedzieliśmy wieczorem w pracowni pełnej książek, piliśmy nieustannie herbatę i do szóstej rano „uzdrawialiśmy” literaturę polską.

Andrzej zawsze przykładał wagę do dokładnego odwzorowania rzeczywistości, zapisu – także w literaturze – realiów, konkretnych. Tego szukał nawet w tomikach poetyckich. Uważał, że jeśli wiersze nie noszą za sobą wielkich problemów, idei, nie mają cech arcydzieła, to istotne, żeby twórca zawarł w nich chociaż prawdziwy zapis rzeczywistości. Opis mówi bowiem nie tylko o niej samej, ale i o świadomości artysty. Badając tego rodzaju teksty, można powiedzieć coś istotnego o epoce, znaleźć odbicie myślenia całego społeczeństwa. Jeśli więc zacząłem w pewnym momencie notować – w formie literackich miniatur – swoje wspominki z dzieciństwa, młodości, to Andrzej nie tylko chętnie je drukował w „Autografie” (choć były dość obszerne), ale zachęcał do kontynuacji. Teraz nie mam już wyjścia, muszę dalej pisać.

Atakującą nas nachalnie nowoczesność wykorzystywał wybiórczo i na swój sposób. Nie korzystał z komórki, choć ją posiadał, natomiast rozmowy – i to bardzo intensywne – z wieloma osobami z całego kraju prowadził przez telefon stacjonarny. Używał ponadto, jak to określał, urządzenia wielofunkcyjnego. Czyli drukarki, kserokopiarki i skanera. Nie uciekał od internetu, listy i swoje teksty wysyłał pocztą elektroniczną. Pod koniec życia jego nową pasją stał się portal Allegro, a precyzyjnie: wynikające z zagładania także zbieractwo. Założył nawet skromne konto bankowe i brał udział w licytacjach. Niekiedy kupował książki, ale szczególnie bawiło go licytowanie medali, posążków Leninów, Stalinów, Dzierżyńskich. Zebrał niedużą kolekcję, która stoi na jednym z regałów w pracowni. Wielu znajomych nie mogło zrozumieć, na co mu taka kolekcja „zbrodniarzy”, według obecnie używanej nomenklatury. Tymczasem to był tylko odprysk jego zainteresowań, swoisty żart Andrzeja, który – już na serio – twierdził, że aby poznać i zrozumieć współczesną Polskę (w tym literaturę), trzeba odnieść się do okresu stalinizmu. I zrozumieć, co się wówczas zdarzyło.

Podczas jednej z moich wizyt Waśkiewiczowie wzięli mnie z sobą na coś w rodzaju urodzinowej (albo imieninowej) prywatki, do mieszkających na jednej z sąsiednich ulic państwa Wojciechowskich (Heniek jest kuzynem Hanki). Wtedy to, jedyny raz w życiu, widziałem Andrzeja tańczącego! Rzecz warta odnotowania. Jeśli idzie o alkohol, to Waśkiewicz nie odmawiał. Sam również robił różnorakie nalewki – o czym się przekonałem stosunkowo niedawno, gdyż wcześniej alkohol mnie nie interesował. On wypijał stosowną ilość trunku (wódki głównie) i bez kłopotów gadał

dalej. Pewnego jednak razu w Oborach, ośrodku pracy twórczej ZLP, został dłużej na uczcie w pałacu, podczas gdy ja poszedłem do naszego pokoju w oficynie. Chyba sporo wypił, bo nie dość, iż po powrocie mówił głośno i bełkotliwie, lecz i o sprawach, których nigdy nie poruszał. Nie wiem (do dziś), co go pobudziło, żeby opowiadać o samobójstwie syna koleżanki z pracy...

Andrzej miał różne hobby. Już w czasach zielonogórskich hodował rybki, w okresie gdańskim hodował się rozrosła, a największe akwarium stało tuż przy biurku, po prawej stronie. Pisząc, mógł spoglądać na glonojady (te zapamiętałem) i inne ryby lub ślimaki. Kiedyś zapytałem o sens hodowli, odrzekł: – Ty chodzisz po górach, pływasz na kajakach, masz przyrodę blisko.

Pewnego razu wziął mnie na wyprawę nad staw w Suchaninie (osiedlu we Wrzeszczu), bo trzeba było nałapać rozwielitek. Inną, chyba najpoważniejszą pasją była filatelistyka. Miał solidne i ukierunkowane zbiory, np. gromadził znaczki III Rzeszy (szczególnie Generalnego Gubernatorstwa). Wciągnął mnie do tego procederu, ale nie jako zbieracza (nie dałem się namówić), lecz jako podrzędną pomoc. Otóż miałem wycinać z kopert wszystkie znaczki, jakie do mnie trafiały (nawet te najbardziej banalne, popularne) i mu przekazywać. Znowu: po co ten zabieg? Okazuje się, iż Andrzej gromadził po 100 czy może 1000 tych zwykłych znaczków, zakładał banderole i handlował z innymi filatelistami. Ten proceder trwał latami, ba, dziesiątkami lat. Gdy Andrzej zmarł, odruchowo wciąż wycinałem znaczki z kopert. Teraz już przestałem, ale ukłucie żalu, gdy wyrzucam do kosza kopertę ze znaczkiem, pozostało.

Kiedyś – dzięki znaczkom – objaśnił mi ważny moment historii Polski. Namówiłem go, żeby o tym napisał, i takim sposobem powstał tekst „Trójka zbąszyńska” wydrukowany w lokalnym piśmie „Zbąszynianin”. To dobry przykład. Gdy w latach 50. nastąpiła w kraju wymiana pieniędzy (a rzecz była przeprowadzona w wielkiej tajemnicy w ciągu jednej nocy; ponoć wiedział o dacie wymiany tylko Bierut i jeszcze dwie, trzy osoby), Poczta Polska musiała zmienić taryfę na znaczkach. Urzędy pocztowe za pomocą prostych stempli w ciągu wspomnianej nocy zobowiązane były znaczki przestemplować. Lecz tylko w moim rodzinnym Zbąszyniu urzędnicy wpadli na pomysł wykonania pieczęci, która za jednym uderzeniem ostemplowywała aż trzy znaczki naraz. Stąd wzięło się później w filatelistyce hasło „trójka zbąszyńska”, która ponoć była / jest cennym rarytatem. No i dowód na to, że „trójka” zawsze będzie się kojarzyć z datą wymiany pieniędzy (w stosunku 3 zł do 100 zł) w PRL.

Z istotnych pasji Andrzeja należałoby jeszcze powiedzieć o jego zamiłowaniu do kucharzenia i gawęd kulinarnych. Ale tę kwestię pomijam (tutaj), gdyż jakiś czas temu przygotowałem i wydałem książeczkę z tytułem wymyślonym przez Waśkiewicza „Jedzenie jest niezdrowe. Ale przyjemne...” (Zielona Góra 2017, wydanie drugie).

cdn.